

JERZY BROSKIEWICZ

Kluska, Kefir i Tutejszy



Jerzy Broszkiewicz

KLUSKA, KEFIR I TUTEJSZY

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2021

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Autorka okładki: Olga Bołdok
ISBN: 978-83-66719-28-6
Tekst: Nasza Księgarnia, Warszawa 1967

SPIS TREŚCI

[Pewien list, czyli coś w rodzaju przedmowy](#) (4)

[Kluska wlaźła... i tak dalej, czyli rozdział pierwszy](#) (7)

Powietrze morskie zaostreza apetyt, czyli rozdział drugi (19)

Ci z Lizbony i nieszczęsny więzień, czyli rozdział trzeci (29)

Ho. ho. ho... mocna rzecz! powiedział kot (kilka razy)...., czyli rozdział czwarty (43)

Delfiny, rekiny, demony oraz pewna papuga, czyli rozdział piąty (59)

Pan Ghomo Ludens i inni, czyli rozdział szósty, częściowo odpoczynkowy (75)

Aviomarina. helikopter. zły pies, a także smutek, strach i odwaga pana Gooffy – czyli
rozdział siódmy (88)

Profesor H.S.. wielki skok i klaps 167, czyli początek rzeczy dla rozdziału ósmego
właściwych (117)

Pewien list, czyli coś w rodzaju przedmowy

Wcale nie chciałem pisać przedmowy. Ale właśnie kiedy już zabierałem się do tej książki, dostałem pewien list.

Siedziałem akurat nad plikiem pustych kartek papieru i zastanawiałem się, trzeci dzień z rzędu, od czego zacząć i co ma Kefir do Kluski, a Kluska do Tutejszego. Wtedy o dwunastej z minutami zadzwonił dzwonek.

„Listonosz” — pomyślałem i poszedłem prędko do drzwi, żeby odebrać listy. Byłem wyraźnie zadowolony. I to nie tylko dlatego, że lubię dostawać listy. Byłem także zadowolony z tego powodu, że jak człowiek siedzi nad pustą kartką papieru i mocno się waha, jak ją ugryźć i od czego zacząć, każda okazja jest dobra, żeby wstać od stołu i choć na chwilę zająć się czymś innym. Oczywiście w takich wypadkach wdycham obłudnie i udaję przed samym sobą irytację, że znowu „nie dają mi pracować”. Ale w gruncie rzeczy przynajmniej przez pięć minut jestem bardzo zadowolony.

Tak właśnie było i tym razem. Wymyśliłem sobie wprawdzie kilka pierwszych zdań — ale po nich otwierała się pustka: co dalej? Dzwonek listonosza odezwał się w porę. Poszedłem do drzwi, otworzyłem.

Listonosz (bardzo miły, skromny i szczupły pan w okularach) powiedział: „Dzień dobry panu, trzy listy polecone i kilka zwykłych”.

Polecone były z Warszawy, Londynu i Rybnika. A jeden ze zwykłych — ten, o który tu chodzi — przysłano z pewnej szkoły podstawowej w województwie olsztyńskim.

Napisała go klasa V.

Dostaję sporo listów od różnych piątych klas, bo właśnie w tej klasie moja książka („Wielka, większa i największa”) należy do lektur obowiązkowych. Czasem się tego mocno boję. Ja na przykład zawsze bardzo lubiłem czytać. Ale z reguły wolałem czytać coś nieobowiązkowego niż coś obowiązkowego. Myślę więc sobie czasem: „Źle, kolego Broszkiewicz. Zostałeś obowiązkowym — i to ci może zaszkodzić”. Potem jednak się pocieszam, że może znajdą się i tacy, którzy jeśli nawet zaczną książkę z obowiązku, to skończą z własnej chęci.

Ale wracajmy do listu.

Napisany był — i owszem — sympatycznie. Ładnym pismem i z wielką uprzejmością. Klasa V oświadczała mi, że przeczytała „Wielką, większą i największą” z zainteresowaniem, oraz że książka szczerze się im spodobała. Zdanie to, przyznaję, dla odmiany szczerze mnie się spodobało.

W pokoju nie było nikogo z rodziny, tylko ja i kot.

— Widzisz? — powiedziałem do kota (kot nazywa się „Paculka”) — książka niby obowiązkowa, a jednak się spodobała.

Kot właśnie szedł trochę bokiem przez pokój i szukał, miejsca na drzemkę. Nie zwrócił więc uwagi na to, co mówię, tylko po chwili zastanowienia włożył do kosza na papiery i podłożył łapy pod brodę.

— Nie śpij, jak do ciebie mówię — powiedziałem ostro.

On jednak przykrył nos ogonem, a ogon milczeniem, i udał, że nie słyszy. Zrezygnowałem z beznadziejnej rozmowy i wróciłem do listu.

Wtedy właśnie przeczytałem takie zdanie: Ale prosimy Szanownego Au to ra o jedno wyjaśnienie. Jak to było możliwe, że Ika i Groszek rozmawia li z au tem „Kapi tanem” i samo lo tem „Jakiem”, i jak to mogło być, że po lecieli w Kosmos na plane tą Vega. Czy to był sen, czy rzeczywistość? Bo to przecież nie mogła być rzeczywistość. Więc czy to był sen?

No i proszę: zawsze musi być jakieś „ale”. W gruncie rzeczy to bardzo dobrze, że wielce miła i ciekawa świata klasa V zadaje mi pytanie: jak to właściwie było? Od razu widać, że książkę przeczytali, że zastanawiali się nad nią, że jedni pewnie mówili tak, a

drudzy inaczej, więc napisali do „Szanownego Autora”, żeby rozstrzygnąć te kłopoty. Ale teraz ja mam dla odmiany kłopot — jak wytłumaczyć tę zawiklaną sprawę: sen czy rzeczywistość?

Bo przecież ani to nie był sen, ani rzeczywistość tylko książka pod tytułem „Wielka, większa i największa”. Historia o Ice i Groszku, która mówiąc szczerze w życiu nie zdarzyła się nigdy, ale za to w książce zdarzyła się na pewno. Tak więc w książce przedstawiona została rzeczywistość. Tyle że nie rzeczywista, a książkowa.

Bo — na przykład — jak to było z pierwszym człowiekiem ha księżycu, z panem Twardowskim? Poleciał na księżyc? Wszyscy wiedzą, że poleciał, prosto z karczmy (co się „Rzym” nazywała). Ale proszę mi wytłumaczyć, czy stało się tak we śnie, czy w rzeczywistości? Przecież ani tak, ani tak, tylko zwyczajnie: w opowieści o Twardowskim.

Daję słowo honoru, że mógłbym w związku z tą sprawą przytoczyć nie mniej niż tysiąc przykładów. Bo (na przykład) historia Stasia i Nel nie zdarzyła się w żadnej prawdziwej pustyni czy w puszczy, tylko w powieści Henryka Sienkiewicza. A znowu sen Alicji o krainie czarów nie zdarzył się w żadnym śnie, tylko w książce Lewisa Carrolla. Różnice między tymi obiema historiami polegały tylko na tym, że pierwsza udawała życie, a druga udawała sen.

Najważniejsze zaś jest to, że obie udawały — i to w sposób prześwietny. Tak bowiem się dzieje od tysięcy lat, że aby powiedzieć coś bardzo prawdziwego o ludziach i świecie, trzeba zmyślać nie bardzo prawdziwe historie. W uczonym języku nazywa się to „fikcją literacką”. A w języku zwyczajnym wystarczy powiedzieć tak: każda książka jest na swój sposób tylko bajką. Rzecz jedynie w tym: mądrą czy głupią, barwną czy szarą, ciekawą czy nudną. I w ogóle...

Przepraszam!

Zaplaćtałem się co nieco w tej całej sprawie. A mówiąc między nami wcale bym się tak nad tym wszystkim nie rozwodził, gdyby nie to, że list przyszedł akurat na trzy minuty przed napisaniem kilku pierwszych zdań historii o Klusce, Kefirze i Tutejszym. Już miałem te zdania w głowie. Miały brzmieć tak:

„Klaska wlaźła na sosnę i powiedziała do Kefira: — Cielęcina z ciebie, mój drogi!”

No i cóż? Już miałem to napisać, kiedy dostaję pytanie o sen i rzeczywistość. Klaska siedzi na sośnie i mówi o cielęcinie, Kefir zaczyna się gotować ze złości, kot Pacułka wlaźł do kosza na papiery i przykrył nos ogonem, a ogon milczeniem. A ja w tej sytuacji mam odpowiadać na trudne pytania.

Niech będzie mi wybaczone, że nie odpowiedziałem na pytania do końca. Muszę jednak przy okazji jeszcze wyjaśnić, że w tej książce (z Kluską, Kefirem i Tutejszym) lepiej w ogóle nie pytać, gdzie sen, gdzie sens, a gdzie rzeczywistość. Jest akurat wiosna, miesiąc kwiecień, naprzeciw mego okna topole zaczęły się zielenić, a w Danii spadły dwa metry śniegu. Ja zaś jestem w całkowicie niepoważnym nastroju, który zamierzam zachować na cały czas pisanie tej książki.

A w ogóle to ani mi w głowie przyjmować całą odpowiedzialność za to, co się będzie tu działo. Wymyśliły mi się trzy trochę dziwne osoby, o których ma być ta historia, i w związku z tym oświadczam, że co najmniej połowa mocno dziwnych awantur, w których będą brały udział, to ich robota. Na wszelki wypadek wspomniałem o tym kotu Paculce.

— Ty, słuchaj! — spytałem. — Śpisz?

— Tak — mruknął. — A bo co?

— Mógłbyś odzywać się nieco grzeczniej.

— Mógłbym — zgodził się niby uprzejmie. — Ale o co chodzi? Otworzył oczy, ziewnął i wylaźł z kosza. Potem wygiął grzbiet i uśmiechnął się głupkowato, co mnie zawsze rozbraja.

— Chciałem na wszelki wypadek wziąć ciebie na świadka — oświadczyłem — że co najmniej połowa odpowiedzialności spada na Kluskę, Kefira i Tutejszego.

Paculka ziewnął z obrzydzeniem. Wolnym krokiem, kręcąc kuprem, przeszedł do drugiego pokoju, skręcił w lewo za framugę drzwi, i zza framugi najpierw beczelnie pokiwał ogonem. Potem w miejscu ogona pokazało się pół głowy: lewe oko, lewe ucho, lewy wąs, lewe zęby i lewa część jęzora.

— Coś takiego! — powiedziała lewa strona gęby Paculki. — Dla takich obrzydliwości jak kluski i kefir budzi się mnie ze snu o piklingach, 25 złotych kilo! W tym domu naprawdę można zwariować! — warknął i poszedł spać na zbiór czasopism społeczno-kulturalnych, które składamy pod telewizorem.

Na razie mu wybaczyłem. Co się będę kłócił z kotem, który warczy! A w dodatku z półanalfabetą, dla którego jedyną interesującą lekturą są cenniki Centrali Rybnej. Wybaczyłem i ustąpiłem w przekonaniu, że mądry ustępuje głupiemu.

Do czasu jednak — do czasu! Kiedy skończę książkę, stanowczo zażądam wyjaśnienia, co to właściwie znaczy, że „w tym domu można zwariować”? Aby jednak skończyć książkę, muszę ją wpierw zacząć. Coś mi się zdaje, że czas na to. A zatem...

Kluska wlaźła... i tak dalej, czyli rozdział pierwszy

Kluska wlaźła na sosnę i powiedziała do Kefira:

— Cielęcina z ciebie, mój drogi!

Kefirowi w gardle ze złości aż zabulgotało. Kluska ostrożnie zdjęła sosnową szpilkę z kory wędrującą do nieba mrówkę i rzuciła mu obie na głowę: szpilkę z mrówką.

— Mrówka w kefirze — powiedziała z obrzydliwym uśmiechem. — To powinno być bardzo zdrowe.

Kefir schylił się i ostrożnie strącił szpilkę z mrówką na piasek. Mrówka z pomruczkiem zadowolenia zaczęła ciągnąć szpilkę w stronę pobliskich zarośli. Dopiero wtedy Kefir spojrzał Klusce w oczy i powiedział:

— G! g!

— Co?! — spytała groźnym głosem. — Powtórz!

— G! g! — powtórzył z wielkim spokojem. — Głupiasta gęgoła, gburowata glista, globalna gęś.

W ciągu następnej sekundy Kluska rozważyła następujące możliwości: a) mogłaby sypnąć z pełnych piasku sandałów prosto w oczy Kefira (ale to byłoby zwykłe świństwo), b) mogłaby wlepić Kefirowi we włosy dobrze już rozmiękłego „irysa”, którego właśnie ssła (ale to by było zwykłe marnotrawstwo), c) mogłaby zrzucić sandał i kopnąć go bosą piętą prosto w bezczelne czoło (ale to byłoby zwykłe chuligaństwo).

Wybrała więc w końcu broń najbardziej nieuczciwą: zamilkła, zatrzęsała brodą, westchnęła cicho, lecz rozdzierająco i uroniła cztery wielkie łzy. Taki był bowiem najlepszy sposób na Kefira.

Kefir udał, że nie widzi. Ale zbłądł. Uśmiechnął się niby z ironią. Ale jak bezradnie i niezdarnie! Chrząknął na pozór lekceważąco. Ale uszy mu poczerwieniały.

Kluska zaś siedziała nadal na najgrubszej i najniższej sosnowej gałęzi, nadal milczała i z zimnym okrucieństwem wyduszała z siebie dalsze łzy. W myśli liczyła sekundy: „Raz... dwa... trzy... cztery...”

Kefir (jak zwykle) załamał się przed upływem dziesięciu sekund. Tym razem nawet dzielnie się trzymał: uległ dopiero w sekundzie ósmej, przy piątej parze wielkich łez.

— No... tego... Nie gniewaj się... — powiedział.

Kluska przestała dusić łzy, a jej uśmiech (wewnętrzny) nie był pozbawiony szyderstwa. Na zewnątrz natomiast nadal okazywała smutek i rezygnację.

— Nie gniewam się — westchnęła. — Jest mi tylko bardzo przykro.

— Niech będzie — zgodził się przygnębiony Kefir. — Zgadzam się, żeby zrobić to, co ty sobie życzysz. Możemy iść na molo, choć nadchodzi mgła. Możemy nawet popływać, choć woda jest na pewno zimniejsza od lodów bambino.

Kluska lekko zeskoczyła z gałęzi.

— Tchórz — orzekła ze słodyczą. — Nie wiesz, co dobre. Ja bardzo lubię lody bambino.

Kefir postanowił, że w tej sytuacji lepiej się nie odzywać. Więc nie odezwał się. Tym bardziej że przewidywał, co nastąpi: kiedy już on się zgodził na to, czego ona sobie życzyła, jej przestanie na tym zależeć.

Gdy przed kwadransem wyszli z domu, on (Kefir) zaproponował, żeby pójść na wielkie wydmy, które świetnie udają bezkresną pustynię, a ona oczywiście od razu była przeciw: nie na wydmy, tylko na molo — i nie na spacer, tylko do kąpieli. A więc pokłócili się — co już zostało opisane — a potem on ustąpił.

Teraz należało oczekiwać, że ustąpi ona.

Kluska rzeczywiście zamrugała zielonoszarymi oczami, westchnęła.

— Och, jak nudno! — ziewnęła. — Ostatecznie można też pójść na wydmy. I tak się nic nie zdarzy.

— Skąd wiesz? — spytał głos złośliwy (i nieco skrzypiący).

— Kto to?! — krzyknęła Kluska.

Kefir nie krzyknął. Nawet nie mruknął. Rozejrzał się tylko dokoła z uwagą. I zrozumiał, że Kluska znowu wywołała awanturę. Ile razy mówiła, że jest nudno i że się nic nie zdarzy — zawsze się coś zdarzało. I to głównie jemu.

„Mam nadzieję — westchnął w myśli — że tym razem Klusce też się coś zdarzy”.

— Oczywiście — przyznał głos. Kefir poczerwieniał ze złości.

— Ja sobie wypraszam — powiedział bardzo ostro. Kluska z cichym jękiem klapła siedzeniem na piasek.

— Co ty sobie wypraszasz, Kefirku? — spytała słabym głosem. Kefir był zły jak diabli. Jak pieprz. Jak coś jeszcze w tym rodzaju.

— Wypraszam sobie — powtórzył. — Nie dość, że go nie widać, to j jeszcze rozmawia z moimi myślami!

— Ale kto?!

— A bo ja wiem?! — zdenerwował się ostatecznie Kefir. — W każdym razie nie życzę sobie. Z obcymi nie gadam.

Wtedy zza najgrubszej sosny, za którą przed chwilą jeszcze nikogo nie było, wyszedł dość nawet zwyczajny osobnik. Wyglądało na to, że jest mniej więcej w ich wieku. Ubrany był podobnie, jak oni: sweter, farmerki, sandały. Ale włosy (rude!) sterczały mu trochę bardziej niż zwykłemu chłopcu, piegów nosił na twarzy trochę więcej, niż by wypadała przeciętna statystyczna Klubu Piegowatych, zaś oczy i zmarszczki koło oczu miał weselsze, niż można by się spodziewać po facecie, który pojawia się nie wiadomo jak i nie wiadomo skąd.

— Jestem Tutejszy — oświadczył. — Cześć.

Kluska od razu wstała, uśmiechnęła się czarująco, żeby z miejsca okazać, jaka to ona jest taktowna, zgrabna, ładna i w ogóle.

— Cześć — skłoniła głowę. — A jak się nazywasz?

— Tutejszy — powtórzył tamten i zaśmiał się. — Tylko tyle: Tutejszy.

— To imię czy nazwisko? — spytała.

— I, i — śmiał się dalej. — I imię, i nazwisko.

Kluska spojrzała na Kefira okiem nieco zbaraniałym. Kefir uznał, że czas się również przedstawić.

— Cześć — powiedział. — A my się nazywamy...

— Wiem — przerwał Tutejszy.

— Co wiesz? — zdziwiła się Kluska, a Kefir tylko pokiwał głową: ona się jeszcze dziwi.

— Wiem — mówił do Kefira Tutejszy — że ona nazywa się Agnieszka, ale nosi przydomek „Kluska”, bo ogrooomnie lubi kluski i choć je masami je, nie może w żaden sposób utyc, co ją martwi, ponieważ uważa, że jest wyraźnie za chuda...

— To moja sprawa! — zaperzyła się Kluska.

— Wiem również — ciągnął dalej Tutejszy — że ty nazywasz się Krzysztof, ale nosisz przydomek „Kefir”, ponieważ stale pijasz kefir, jako że bardzo chcesz schudnąć, co ci się jednak wciąż nie udaje, bo podobnie jak Kluska zanadto lubisz kluski. A Kluskę również bardzo lubisz.

— Moja sprawa! — mruknął Kefir.

Tutejszy pokazał w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

— Wiem także — mówił. — że przyjechaliście tu nad morze na Zielone Świąta razem z dziadkiem Kluski, że dziadek od rana siadł do szachów z gospodarzem domu, u którego

mieszkacie, że choć jesteście bardzo do siebie podobni, nie jesteście nawet kuzynami, tylko znajomymi, a raczej przyjaciółmi, że ile razy Kluska narzeka, że jest nudno, tyle razy Kefir ma kłopoty, że Kefir ma 13 lat, a usposobienie bardzo spokojne, i ciągle mu się coś przytrafia, a Kluska ma lat 12, zaś usposobienie ma bardzo niespokojne i nic się jej jakoś nie przytrafia, że Kefir lubi muzykę Bacha, historię i filmy podróżnicze, zaś Kluska woli matematykę, Czerwono-Czarnych i powieści fantastyczne, że Kluska, ile razy chce przeprowadzić przy Kefirze swoją wolę, tyle razy udaje, że płacze, a Kefir, choć w głębi duszy wie, że to tylko udawanie, za każdym razem łamie się, i to przed upływem dziesięciu sekund...

— Wystarczy? — spytał siadając na gałęzi sosny, a im oczy wylazły jeszcze bardziej na wierzch, bo Tutejszy podskoczył do tej gałęzi tyłem, tak jak się podskakuje do trochę zbyt wysokiego stołka. Tyle że Tutejszy podskoczył na wysokość dwóch i pół metra.

— Co was tak замуrowało? — dziwił się Tutejszy. — Jeszcze nic się nie zdarzyło. To dopiero początek.

— Czego początek? — stęknął Kefir.

(KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU)